

Maria Wrześniewska-Kruczkowska: Psychostenik. Gombrowiczowi, Karpińskiemu i Schulzowi

Opowiedziałem wam już o swoich przygodach, gdy byłem zwykłą małpą, Modrem Cielęciami, synem pięknego orangutana Wau-Wau i małpy pokojowej. Opowiedziałem wam już o niewdzięczności ludzkiej, której zaznałem ponad wszelką miarę – wtedy gdy byłem puszystą angorą. Teraz chcę wam opowiedzieć o zwyczajach Idiotów Makabrycznych, bowiem w jednym z ostatnich swoich istnień byłem Idiotą. Wprawdzie lekarze twierdzili uparcie, iż jest to tylko psychostenia, że nęka mnie tylko zanik poczucia rzeczywistości – lecz darujcie! wolę wierzyć starej mojej piastunce, która na pewniaka przysięgała, iż jestem kompletnym idiotą

Urodziłem się najnormalniej w świecie, urodziłem się w samą porę i w sam czas, albowiem dłużej n i e b y ć przechodziło już moje siły. Jako noworodek myślałem niezwykle bystro i poprawnie. Skoro tylko z czeluści krwi i niebytu wypłynąłem ku nagiej rzeczywistości, tj. na ręce akuszerki, powiedziałem ironicznie do swej mamy:

– Proszę tylko nie zwracać mi gitary historią o bocianie. Chyba pani nie przypuszcza, że dam się nabrać na takie naiwne kłamstewka. Nie jestem naiwny. Jestem uświadomiony. Jestem noworodkiem nowoczesnym. W ogóle na przyszłość proszę, aby mnie nie bujać. Jestem noworodkiem na tyle oryginalnym, aby zrozumieć, że wasze kołysanie nie jest niczym innym tylko okłamywaniem mnie, wmawianiem, że jestem naiwny i że to kołysanie sprawia mi przyjemność. Precz z kołyską! A więc zaznaczam z góry, żeby nie było żadnych nieporozumień: inne noworodki krzyczą, ponieważ nie umieją nic innego robić... ja umiem myśleć i proszę się z tym liczyć.

Mama znieruchomiała. Potem wrzasnęła rozdzierającym głosem:

– Bić go.

Moja wążka pupa noworodka dostała się w łapy akuszerki. Jedną ręką chwyciła mnie za nóżki, uniosła w powietrze i gdy tak wiłem się rozpaczliwie (głową w dół), ciężkie jej palce dotykały moich pośladków. Krew uderzyła mi do głowy. Krzyknąłem:

– Dość już tych komedii. Nie po raz pierwszy jestem noworodkiem. I wiem, jakie prawa mi przysługują. Proszę złożyć mnie w pierzynkę.

– Bić go – jęczała matka.

W tej chwili stanął w drzwiach mój ojciec.

– Pamiętaj – rzekł – że całe życie polega na biciu w pupę. Jedyną twoją reakcją może być wrzask. Bez mędrkowania.

– Tak przypuszczałem – odparłem, siłąc się na humor, chociaż pupa piekła mnie okrutnie – to samo mówił mi mój były ojciec, Wau-Wau, czyli Kłębiasty Włos.

– Bić go – ryknął ojciec – niech dzieciątko wrzeszczy, niech wie, że pulsuje w nim moja krew.

Więc bili. Zapłakałem rozpaczliwie, głośno, rozdzierająco, a wtedy mama, tato i akuszerka westchnęły z ulgą: „Bobak żyje, chwała Bogu...”

Zwaliłem się jak kłoda do kołyski i pisałem:

– Whisky and soda. Inaczej zemdleję.

Podano mi prędko jakąś butelczynę. Moje rączęta noworodka chwyciły ją gwałtownie, zabalgotało mi w gardle.

– Pfe... – zakwiliłem – to jest przecież ordynarny rumianek. Więc tak rozpoczynam życie? Najpierw bijecie mnie, a potem, gdy żądam środków orzeźwiających, współczesnych... dostaję rumianek! Ha! Dosyć tego. Proszę mi podać numer telefonu Ligi Ochrony Praw Człowieka i Obywatela.

Mama, tato i akuszerka wstrzymali oddechy. Mama tak go wstrzymała, aż umarła („to się nazywa przy porodzie”, ha! ha!), a ojciec osłabł i rzuciwszy się na kolana, wznosił modły do sufitu.

– Dlaczego mnie tak każesz, o Boże?

– Pan wierzy w Boga? – zdziwiłem się.

Ojciec jęczał dalej:

– Cóż Ci zawiniłem, o Boże.

– Może pan nie zapłacił podatków? – wtrąciłem łagodnie.

Wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu dostałem po pysku od ojca, który przy odgłosie policzka wymówił te pamiętne słowa:

– Wszystko przez tego małego idiotę, mego syna...

– Czy jest pan tego pewny? – chlipnąłem. – Kwestia zapłodnienia A przez B lub A przez C jest jeszcze naukowo niewyjaśniona. Naukowcy stwierdzają, że 99% dzieci nieślubnych rodzi się w ślubnych związkach.

Po tych słowach, zmęczony, zasnąłem.

■

Więc żyłem. Nie pozostało mi nic innego do robienia tylko żyć. Żyłem samotnie. Ojciec, który nie mógł przeboleć straty swej żony, i przekonany, że zginęła ona, wydając na świat właśnie mnie, unikał mego widoku i tylko wysyłał do dziecinnego pokoju czeki na utrzymanie. Chwała Bogu, czeki te miały pokrycie. Oprócz czeków wepchnął mi na dokładkę starą piastunkę, nianię.

Nie mogę wam dokładnie opisać tego potwora. Była to kobieta o szerokiej twarzy, szerokim nosie i wąskich jak szparki oczach. Posłuszna była bardzo i po-

korna lecz ta jej pokora odbierała mi apetyt i gasiła zupełnie mój popęd płciowy, który, jak wiadomo, u pięcioletnich chłopców jest najsilniej rozwinięty. Gdy kazałem jej zrzucić strój niani i złożyć ciało na kanapie, oczom moim przedstawiał się zawsze ten straszny widok: piersi piastunki opadały w łagodnych falach ku zmiętemu brzuchowi, wyleniałe włosy podbrzusza ukazywały wstrętą łysinę, a uda miała zeschnię jak badyle. Przy tym w nos uderzał przykry zapach. Pięcioletni chłopcy czują pociąg do mięsistych, soczystych, mlecznych kobiet Rubensa. Ha! Moja piastunka, mimo że znała niezwykle rafinowane pieszczoty – znudziła mi się szybko. Po dwóch latach skończyłem z nią. Wbiłem w jej klatkę piersiową wielki hak, potłukłem trochę młotkiem i przytwierdziłem moją piastunkę do ściany. Kręciła błagając biodrami, lecz byłem niewzruszony.

– Musisz zdechnąć, Ofelio. Jesteś zupełnie nie do użytku, a wiesz przecież, że ja jestem przede wszystkim pragmatykiem.

– Ależ dziecinko najdroższa, zgnijesz w kryminale, jeśli znajdą w tym pokoju moje zwłoki. To nie jest żaden pragmatyzm, to morderstwo z premedytacją. Be, be... brzydka zabawa. Weź lepiej klocki... albo chcesz... przeczytam ci bajeczkę o Czerwonym Kapturku.

– Milcz, głupia... – zaśmiałem się historycznie i wskazałem ręką karaluchy pełzające wzdłuż listew podłogi. – Jutro śladu nawet nie będzie z twego śmierdzącego ciała.

Piastunka zawyła, wygięła się jak pantera... lecz gwóźdź trzymał mocno.

– Jeśli chcesz, możesz się modlić. Nawet głośno. Ostatecznie Bóg może istnieć. Skończoność musi mieć przyczynę nieskończoną. Módl się do nieskończoności – mówiąc to, podniosłem z ziemi dwa karaluchy i przyczepiłem je do piersi niani. Reszta insektów popędziła już sama ku ofierze i zaczęła ją obgryzać, od nóg począwszy. Wkrótce cała postać pokryła się drgającą, brunatno-czarną masą. Po półgodzinie z piastunki pozostały tylko kości, które wraz z nieruchomymi od przeżarcia karaluchami zakopałem pod deskami podłogi.

– Ślad zbrodni został ukryty – szepnąłem zwycięsko. Po czym ułożyłem się w łóżeczku z białymi firaneczkami i zasnąłem słodko, zarumieniony.

■

Trzeba przyznać, że byłem wesołym dzieckiem. Papierosy, wódka i coraz to nowe służące wpływały doskonale na mój rozwój fizyczny i umysłowy. Mając lat piętnaście, przekraczałem wzrostem metr dziesięć, a mój umysł pracował w systemie c.g.s. z ścisłością wprost przerażającą. Z mego pokoju poczęły wychodzić na świat, roznoszone przez służące, słynne wzory logiczno-matematyczne zwane w dzisiejszym świecie logistyków wzorami Wheiteiringa. Najdoskonalszy z nich męczy do dnia dzisiejszego studentów, przygotowujących się do egzaminu z „logiki i metodologii ogólnej z zasadniczymi pojęciami logiki matematycznej”. Wzór ten wygląda tak: $D F \{(p^2) \cdot (p < q) = q^2 \cdot (p + q) \cdot (q + P)\}$. Niby nic, a spróbujcie

rozwiązać. Mamy tu po obu stronach równoważności iloczyny logiczne, które wykazują nam niezbicie, iż nie jeżeli nie p i p, to q jest tyle co nie q i p lub q i nie q lub nie p, plus minus do f, w nawiasie, to nie tyle co nie p. Wzór ten zresztą sprawdzono najzwyczajszą metodą jedynekową i okazał się całkowicie prawdziwy. Wzorów takich tworzyłem dwanaście albo i piętnaście dziennie, aż wreszcie obrzydło mi to zajęcie. Wtedy zaczęły z mego pokoju płynąć oratoria, zwane oratoriami Wheiteiringa. Śpiewają je dzisiaj chóry konserwatoriów i towarzystw muzycznych. Są one cenione na równi z oratoriami innego wariata, Bacha. Po oratoriach zajmłem się ekonomią i polityką światową. Służące wyniosły z mego pokoju projekty odbudowy gospodarki światowej i stało się to, co się musiało stać: plany gospodarcze Wheiteiringa podbiły świat. Stałem się najważniejszą osobą na świecie. U mnie zasięgano opinii co do zasypania kanału La Manche, kolonizacji Afryki Południowej i wschodniej Pupadurke (którą odkryłem przypadkowo i niewinnie), sposobu rwania włosów, podniesienia stanu powyżej pasa, walki z komunizmem, nacjonalizmem, manicuryzmem (od manicure – taki prąd rasistyczno-paznokciowy), leku na porost zębów u nieboszczyków, walki idealizmu z panidealizmem itd., itd. Moje biurko zarzucone było listami, depeszami i czekami z całego świata. Byłem legendą Renesansowego Człowieka. Zamknięty w swym pokoju śmiałem się przez nos i obserwowałem z zadowoleniem tłumy ludu wiwatujące na moją cześć.

– Niech żyje...

■

Więc żyłem. Przypuszczam, że znudziłem się wam opowiadaniem o tym, jak doszedłem do całkowitej władzy nad światem, jak zniosłem urząd matek, ojców, niani i kołysek, jak ustaliłem Wielki Porządek Rzeczy, zwany porządkiem Wheiteiringa. Zapewniam was, że to było bardzo nudne i głupie. Nawet nie oryginalne. Jedyne pozdrowienie, polegające na kiwaniu palcem w bucie, uważam za bardziej sensowną rzecz z tego okresu. No, raczej zainteresuje was mój fatalny koniec. Koniec Makabrycznego Idioty.

Po zniesieniu urzędu Matek i Ojców dał się zauważyć na świecie brak kołysek oraz dzieci. Ludzkość wymierała. Tłum nie krzyczał już „niech żyje”, lecz domagał się coraz gwałtowniej: „daj nam kołyski i dzieci...”. Co robić? „Daj nam dzieci...” Dobrze im było krzyzczeć, ale jak ja to miałem robić? Coraz mniej służących przewijało się przez mój pokój i te rodzic nie mogły, ponieważ fakt taki był surowo karany. Albo matek nie ma, albo są.

Razu pewnego, zgłodniały i pełen żądz, odsunawszy deski podłogi, wyciągnąłem stamtąd kości mojej pierwszej niani. Gdym patrzył na nie, na te kości z okresu Matek i Ojców, mój genialny mózg znalazł rozwiązanie dla sprawy męczącej tłum.

Wyciąłem sobie biodra, a na ich miejsce wsadziłem nieco zbutwiałe biodra piastunki. Następnie zawezwiałem swą ostatnią służącą i wyrwawszy z jej ciała

gorący ochłap macicy, włożyłem go w swe biodra, uprzednio go zapłodniwszy. Potem położyłem się. Uczułem ból. Byłem oto matką. Najwyższą Osobą Rodzącą. „W ciągu godziny mogę urodzić dwanaścioro dzieci – myślałem – gdy tylko dostarczą mi odpowiedniej ilości macic. Zwycięstwo...”

I możecie wierzyć mi lub nie. Wszystko jedno. Umarłem przy pierwszym porodzie, wydając na świat dwa piękne karaluchy czwartej płci. Tak, ten fakt stał się dla tych naszych uczonych materiałem do gruntownego badania – ale sam przestałem być człowiekiem. W ten właśnie sposób zakończyłem swoje istnienie jako idiota makabryczny (lub jak określano mnie z szacunkiem, psychostenik) i przeniosłem się cichcem do łona wiewiórki.

Pierwodruk: „Apel” 1937, nr 13 (dodatek do „Kuriera Porannego”, nr 351 z 19 grudnia), s. 9–10.